

Jak zrobiłem karierę?

Z prawdziwej nędzy do wielkich pieniędzy

Prowadził kapryśny los p. Zygmunta Kuczyńskiego

Pierwsze krok — „Pocztówki sprzedaję!” — Biuro komisowe — Obrazy, fraki balowe — Bieda znów pokazuje kły — Perfumy w detalu i w hurcie — Delikatesy — Pączki - kołosa z arakiem — Pieniądz robi pieniądz

Od ojca, który utrzymywał liczną rodzinę, nie wziąłem ani grosza. To też pierwsze dni samodzielnej egzystencji były dla mnie bardzo ciężkie. Ani mieszkania, ani jedzenia, ani pracy.

Tydzień spałem, gdzie się dało. Po paru dniach znalazłem kolegę, który mnie przyjął, jako sublokatora. Wypocząwszy solidnie wyszedłem na miasto za pracę i trafiwszy do firmy Karpowicz, wziąłem od niej pocztówki do sprzedaży agentarowej.

„Łaziłem” po mieście od siódmej rano do siódmej wieczór, ale zarabiałem.

Wreszcie kolega mój zezwolił na otwarcie u niego biura komisowego. Już po paru dniach wisiły u mnie na ścianach:

pocztówki, płaszcze, czapki, kalosze, obrazy, fraki i t. d.

Krótko mówiąc, otworzyłem „pierwszorzędnym dom komisowy”.

I byłbym na tem zrobił majątek, gdyby nie wojna, konieczność likwidacji interesu i ucieczka przed władzami austriackimi do Warszawy.

Tu znów niedola. Spanie na dworcach, w komisariatach, domach noclegowych, trochę u znajomych, wreszcie pokój u kolegi i nowe zajęcie agenta perfumeryjnego.

W krótkim czasie ze sprzedaży poszczególnych flaszeczek przeszedłem na hurt, i na nim dopiero dorobiłem się pieniędzy, porzuciłem pracę agenta, a za zaoszczędzone pieniądze nabyłem lokalik na ulicy Brackiej nr. 7.

Tu korzystając z kredytu otworzyłem sklep kolonialny.

Niestety brak towarów podczas wojny nie wróżył mi nic dobrego.

Założyłem skład z mlekiem, Zrobiłem na tem dużo,

lecz i tego wkrótce zaniechałem.

Kupiłem na odmiętą małą

lokal, gdzie ustawiłem pięć stolików i zacząłem prowadzić mleczarnkę.

Pragnąc przynęcić gości, wpadłem na pomysł sprzedawania „pączków - kołosów z arakiem”.

Pączkami temi tak zaімponowałem publiczności, że wkrótce dla mych gości lokal okazał się za ciasnym.

Odkupiłem od sąsiada lokal po składzie mebli i połączwszy go ze swym, otworzyłem znacznie większą mleczarnię,

którą i dziś posiadam. Interes szedł świetnie, pieniądze było dużo, lecz pracy raczej za mało.

Otworzyłem więc przy mleczarni fabrykę cukierków i czekoladek.

I tu się poszczęściło, nabyłem więc magazyn w Mokotowie i tam otworzyłem fabrykę wyrobów czekoladowych. W krótkim czasie zatrudniłem 114 osób personelu.

Powodzenie moje zawdzięczać jedynie dużej wytrwałości i ustawicznej pracy.

PROJEKT P. CIEPLIŃSKIEJ

Obywatele mają serce dla stróży swego mienia

Jak ulżyć doli policjanta

Jak osłodzić ciężkie chwile na posterunku?

Wczoraj „ABC” poruszyło sprawę nędzy, która coraz bardziej zaczyna się panoszyć w szeregach policjantów. Jak bardzo sprawa ta interesuje obywateli niech świadczy poniższy list, jaki otrzymała redakcja „ABC”.

Nie mam słów na wyrażenie wdzięczności Szanownej Redakcji „ABC”, za artykuł, biorący w obronę wieloletnie masy niższych funkcjonariuszy policji z powodu ich nędznego uposażenia.

Lecz obok tej palącej kwestji są jeszcze inne, niemniej ważne i domagające się ludzkiego załatwienia. Wiele przedewszystkiem sprawa służby policjanta na ulicy, służby pełnionej w niesłychanie uciążliwych i niebezpiecznych dla życia i zdrowia warunkach!

Zwłaszcza na przedmieściach.

Zdała od telefonu, bez możności i prawa schronienia się przed deszczem, zamiecią śnieżną, nie zaopatrzeni urzędowo (boć z własnej kieszeni niema mowy!) w odpowiednią bieliznę, kożuchy, obuwie, rękawice, narbuzuszniki i ranszniki — stoją nieruchomo nawet w czasie trzęsających mrozów!

Mimo, że nie zawsze konieczne jest, w imię dobra służby sterczenie policjanta na jezdni...

Czy nie możnaby na tych posterunkach, gdzie w pewnych godzinach jest mniejszy ruch kołowy, zbudować małych a stylowych strażnic?

W takiej strażnicy, oszklonej ze wszystkich stron, powinien znajdować się telefon (raprz. na rogu ul. Wolskiej i Sieradzkiej!), rower służbowy, apteka podręczna (konieczni!) szalczka na pasczy itp. Zimową porą należałoby w pobliżu każdej strażnicy ustawić koszyk ze słomą, opałą i łoksem! Z tego ogniska ciepła mógłby korzystać i niejedon zziębnięty do szpiku kości — przechodzień.

Pieniądze na wybudowanie tych strażnic znaleźć się muszą choćby z opłat doraźnych, t. zw. mandatów karnych.

Pomyślcie o tem pp. Komendanci, Inspektorzy i Komisarze, urzędujący w zacisznych, ciepłych gabinetach!

Z poważaniem
Grzegorzowa Cieplińska.
Wola, ul. Karlińskiego 3.

Wielki styczniowy zjazd kanarków w Warszawie

4000 ptasich znakomości ubiegać się będzie o nagrody

Specjaliści od kanarków — Miernoty i artyści wśród ptaków — Kanarek pedagog i kanarek uczeń

W styczniu od 6 do 9 odbędzie się w Warszawie w gmachu Centralnego Towarzystwa Rolniczego ogólnopolski konkurs... śpiewu dla kanarków. Na konkurs ten sprowadzają swe najważniejsze okazy hodowcy i miłośnicy tych skrzydlatych śpiewaków, zgrupowani w przeszło 80 organizacjach.

W konkursie śpiewu weźmie udział 1000 kolekcji kanarków, t. j. około 4000 ptasząt pieczołowicie i umiejętnie wyszkolonych przez takich hodowców, jak p. Ketzler z Królewskiej Huty (Górny Śląsk), prof. konserwatorium lwowskiego i artysta tamtejszej opery p. Świeży, p. A. Wolczyk z Warszawy, p. Maciński z Poznania i wielu innych.

Konkurs śpiewu poprowadzą specjaliści instruktorzy, prawdziwi profesorowie w sztuce uczenia śpiewu kanarków. Poszczególne melodie będą odśpiewywane w ten sposób, że najpierw zaintonuje na kamer-tonie daną melodię jeden z instruktorów, poczem zawtóruje

mu chór 4.000 ptasząt. Trzeba wiedzieć, że

„idealny primus”-kanarek potrafi wydać 9 różnych tonów; tworzą one jakby gamę kanarczą, z której te ptaszęta odpowiednio wyinstruowane, tworzą najmiłsze uchu melodie.

Oczywiście, że i wśród kanarków znajdują się „jednostki, mniej muzykalne”, które całych 9 tonów nie opanowały; dysponują one, w zależności od talentu 5, 6, czy 7 tonami i z nich tworzą melodie. Bywają wypadki, że takie „jednostki mniej utalentowane” dają się umuzykalnić.

Robi się to w ten sposób, że kanarkowi - primusowi przydziela się kanarka mniej muzykalnego, i ten słysząc stale swego „mistrza” stopniowo opanowuje całą dziewięciotonową gamę.

Hodowcy kanarków w zajęciu swem znajdują obok przyjemności i pożytek. Warszawski hodowca kanarków, kilkakrotnie nagradzany medalami, p. A. Wolczyk niedawno sprze-

dał Rosji przeszło 500 pierwszorzędnego chowu kanarków po 5 dolarów za sztukę.

Ludzie są tylko ludźmi

Nie każde zapomnienie jest zaraz zbrodnią

Z pasją i zapamiętałością zdegradowano setki kolearzy

Pisaliśmy w swoim czasie o niebywałych praktykach w kolejniectwie, gdzie wbrew ustawom,

degradowano pracowników bezprawnie o jedną, a nawet dwie grupy, wymuszając od nich zgodę na degradację.

Takich zdegradowanych są setki specjalnie na terenie Kongresówki, gdzie degradacje stosowano z całą zawziętością.

Opierając się na rozstrzygnięciach Najwyższego Trybunału Administracyjnego, wystąpił w obronie pokrzywdzonych Polski Związek Kolejowców, a

skutek tego wystąpienia daje się już zaobserwować w kilku wypadkach w Dyrekcji Warszawskiej, gdzie wypłacono zdegradowanym różnicę w poborach

za 30 miesięcy.

KARMELKI
ŚLĄZOWO-SŁODOWE
PACZKA 55 GROSZY

WARSZAWA
WILNO
ŁÓDŹ

ALEKSANDER BŁĄZEJOWSKI.

42)

TAJEMNICA HOTELU

PRZY ULICY CHMIELNEJ

— Z zamordowanym łączyła mnie początkowo tylko powierzchowna znajomość. W r. 1918, gdy wracałem jako uchodźca z Rosji do kraju, skradziono mi w ścisłym kolegowym dokumencie. Kontrola bolszewicka zmusiła mnie do przerwania dalszej jazdy w Orle. Bezradny udałem się do miejscowych władz bolszewickich, prosząc o pomoc. Wtedy w jednym z orłowskich komisariatów poznałem Galkina, który zaopiekował się mną i ułatwił mi tego samego jeszcze dnia dalszą jazdę.

— W Warszawie musiał go pan jednak spotkać i kontynuować z nim znajomość, jeśli odwiedzał go pan nawet w domu?

— W Warszawie zetknąłem się z nim kilkakrotnie. Po raz pierwszy przed niespełna rokiem. Było to w południe. Pracowałem w domu, gdy służąca zawiadomiła mnie, że jakiś garbaty człowiek chce ze mną mówić. Kazałem wprowadzić go do swego gabinetu. Gdy wszedł, przypomniałem sobie natychmiast niemiłą przygodę w pociągu bolszewickim. Galkin przyniósł ze sobą gruby rękopis i powołując się na przysługę, jaką mi przed kilku laty wyświadczył, prosił, abym rękopis przeczytał i ocenił, czy ma jakąś wartość literacką. Ponieważ doskonale władam języ-

kiem rosyjskim, więc obiecałem, że powieść przeczytam i ocenię. Zamordowany opo. dał mi wówczas, że rok, który spędził w urzędzie bolszewickim, wyleczył go radykalnie z mrzonek komunistycznych, a ponieważ nie tał się ze swoim rozczarowaniem przed członkami sowietów, musiał z Orła uciekać do Moskwy, ale i tam go ścigano jako kontrrewolucjonistę, tak, że postanowił wyjechać z Rosji do Niemiec. Za fałszywym paszportem przekradł się do Berlina, ale ponieważ nie władał językiem niemieckim i nie mógł zarobić na chleb, więc porzucił Berlin i przeniósł się do Warszawy, gdzie pracuje w jakimś Komitecie pomocy dla emigrantów. Wychodząc zaklinał mnie Galkin na wszystkie świętości, abym nikomu nie zdradził, że on jest autorem powieści. Ponieważ podejrzewałem go o grafomanję, prosba ta wydawała mi się nawet śmieszna, — z grzeczności jednak zapewniłem go, że dochowam tajemnicy. Galkin uspokojony wyszedł.

Karnicki przerwał dalsze zeznania, przybliżył, oddychał ciężko jak po wielkim wysiłku. Prokurator czekał cierpliwie, aż obwiniony odpocznie, aby jednak skrócić kłopotliwe milczenie, wydstąpił z kieszeni papierośnicę i zapalił papierosa. Oskarżony z chciwością wdychał nozdrzami dym tytoniowy. Zabielski zrozumiał, wyciągnął papierośnicę, podał oskarżonemu papierosa.

— W więzieniu śledczym odebrano panu papierosa? — spytał.

Karnicki uśmiechnął się boleśnie.

— No, a teraz niech pan opowiada dalej.

Karnicki zaciągnął się łapczywie papierosem i mówił:

— Obietnicy danej Galkinowi dotrzymałem słownie, powieść zacząłem czytać. W miarę czytania, zmieniłem zdanie o grafomanji Galkina, powieść miała duże walory literackie. Po tygodniu Galkin przyszedł znów do mego mieszkania i wtedy wyraził mi zachwyt dla jego pracy, wytknął tylko kilka drobnych usterek i wad. Galkin wziął powieść do poprawienia i poprawioną przyniósł mi częściami do ponownego czytania. Za każdą bytnością powtarzał swoją prośbę, abym przed nikim nie zdradzał jego zapędów literackich. Nie mogłem połączyć się, jaki jest właściwie cel tej tajemnicy. Dopiero po morderstwie, gdy przeczytałem w gazetach o tem, że Galkin był na żądzie bolszewickim, zrozumiałem, dlaczego tak tał się ze swoją pracą. Powieść była jednym wielkim oskarżeniem dla komunizmu... Wizyty Galkina powtarzały się coraz częściej, dyskutowaliśmy o wielu sprawach, był niezwykle inteligentny, bystry i przewrażliwiony. Gdy chorował i nie przychodził, odczuwałem brak jego towarzystwa, aż wreszcie zacząłem go nawet odwiedzać w hoteliku Mincerowej. W przeddzień morderstwa miałem od Galkina otrzymać ostatnią część powieści. W oznaczonym dniu jednak nie przybył. Obawiając się, że jest chory, odwiedziłem go następnego dnia i wtedy zastałem go płaczącego się we własnej krwi...

— A może mi pan teraz powie, co się stało z powieścią? — spytał prokurator.

Oskarżony błędził wzrokiem po ścianach pokoju, jakby zwlekał z odpowiedzią. Prokurator ponowił pytanie.

(D. c. n.).